1. **Sformatuj tekst w prawej kolumnie tak, aby wyglądał identycznie jak w lewej.**

|  |  |
| --- | --- |
| **Tekst oryginalny - WZÓR** | **Tekst do sformatowania**  |
|  | Przed wydrukowaniem dokumentuZanim zdecydujemy się na wydruk dokumentu, powinniśmy dokładnie sprawdzić jego zawartość i poprawić wszystkie zauważone błędy. Jeśli zaś nie jesteśmy pewni pisowni jakiegoś wyrazu, zazwyczaj sięgamy do słownika ortograficznego. |

**2.** **Sformatuj równania w prawej kolumnie, aby wyglądały tak, jak te w lewej kolumnie.**

|  |  |
| --- | --- |
|  | y=ax2+bx+c |
|  | 2H2O=2H2+O2 |

**3.** **Skorzystaj z Edytora równań i zapisz w pustej komórce wzór widoczny w komórce po prawej stronie.**

|  |  |
| --- | --- |
|  |  |

4. **Zaprojektuj tabelę według wzoru po prawej stronie. Zastosuj scalanie komórek, cieniowanie, wstaw i sformatuj tekst, Wklej i dopasuj obrazek. Obrazek do skopiowania pod tabelką.**



**5**. **Poniższy tekst (fragment „Syzyfowych prac”) zmień według następujących zasad:**

* **autor i tytuł ma być sformatowany stylem "Tytuł",**
* **po tytule wstawiamy podział strony,**
* **trzeci akapit ma być w kolorze czerwonym, wyśrodkowany i pogrubiony, czcionka 12,**
* **pozostały tekst dzielimy na trzy kolumny.**

Stefan Żeromski

Syzyfowe prace (fragment)

I

Termin odstawienia Marcina do szkoły przypadł na dzień czwarty stycznia.

Obydwoje państwo Borowiczowie postanowili odwieźć jedynaka na miejsce. Zaprzężono konie do malowanych i kutych sanek, główne siedzenie wysłano barwnym, strzyżonym dywanem, który zazwyczaj wisiał nad łóżkiem pani, i około pierwszej z południa wśród powszechnego płaczu wyruszono.

Dzień był wietrzny i mroźny. Mimo to jednak, że szczyty wzgórz kurzyły się nieustannie od przelatującej zadymki na rozległych dolinach, między lasami, zmarznięte pustkowia leżały w spokoju i prawie w ciszy. Szedł tylko tamtędy zimny przeciąg, wiejąc sypki śnieg niby lotną plewę. Gdzieniegdzie wałęsały się nad zaspami smugi najdrobniejszego pyłu jak pyłek przyduszonego paleniska.

Chłopak siedzący na koźle, podobny do głowy cukru opakowanej szarą bibułą, w swym spiczastym baszłyku, który w tamtych okolicach od dawien dawna uległ nostryfikacji i otrzymał swojską nazwę maślocha, i w brunatnej sukmanie — mocno trzymał lejce garściami ukrytymi w niezmiernych rękawicach wełnianych o jednym wielkim palcu.

Konie były wypoczęte, nie chodziły bowiem od pewnego już czasu do żadnej ciężkiej roboty, toteż pomykały, parskając, ostrego kłusa po ledwo przetartej, a już znowu na pół zadętej drożynie, i sucho, jednostajnie trzaskały podkowami o nadmarzniętą zwierzchnią skorupę śniegu.

Pan Walenty Borowicz ćmił fajkę na krótkim cybuszku, wychylał się co kilka minut na bok i przyglądał uważnie już to sanicom, już migającym kopytom. Wiatr go chłostał po zaczerwienionej twarzy i on to zapewne wyciskał owe łzy, które szlachcic ukradkiem ocierał.

Pani Borowiczowa nie siliła się wcale na maskowanie wzruszenia. Łzy stały bez przerwy w jej oczach skierowanych na syna. Twarz ta, niegdyś piękna, a w owej chwili wyniszczona już bardzo przez troski i chorobę piersiową, miała niezwykły wyraz namysłu czy jakiejś głębokiej a gorzkiej rozwagi.

Malec siedział „w nogach”, tyłem do koni. Był to duży, tęgi i muskularny chłopak ośmioletni, z twarzą nie tyle piękną, ile rozumną i miłą. Oczy miał czarne, połyskliwe, w cieniu gęstych brwi ukryte. Włosy krótko przystrzyżone „na jeża” okrywała barankowa czapka wciśnięta aż na uszy. Miał na sobie zgrabną bekieszę z futrzanym kołnierzem i wełniane rękawiczki. Włożono nań ten strój odświętny, za którym tak przepadał, ale za to wieziono go do szkoły. Z niemego smutku matki, z miny ojca udającego dobry humor wnioskował doskonale, że w owej szkole, którą mu tak zachwalano, przyobiecanych rozkoszy będzie nie tak znowu dużo. Znajomy widok wioski rodzinnej znikł mu prędko z oczu; nagie wierzchołki lip stojących przed dworem, schyliły się za brzeg lasu obwieszonego kiściami śniegu… Najbliższa góra poczęła wykręcać się, zmieniać, jakby krzywić i dziwacznie garbić. Wypadały teraz przed jego oczy smugi zarośli, jakich jeszcze nigdy nie widział, płoty z sękatych, nieociosanych żerdzi, na których wisiały przedziwne, niezmiernie długie sople lodu, wynurzały się pewne obszary puste, gdzieniegdzie okryte lodami o barwie sinawej, zimnej i dzikiej. Niekiedy las z nagła podbiegał ku drodze i odkrywał przed zdumionymi oczyma chłopca posępne swoje głębie.

— Patrz, Marcinek! zając, trop zajęczy… — wołał co chwila ojciec, trącając go nogą.

— Gdzie, tatku?

— A o, tu! widzisz? Dwa ślady duże, dwa małe. Widzisz?

— Widzę…

— Będziemy teraz szukali tropów lisa. Czekaj no… My go tu zaraz, oszusta, wyśledzimy, a potem palniemy mu w łeb, zdejmiemy futro i każemy Zelikowi uszyć prześliczną lisiurę dla pana studenta, Marcinka Borowicza. Czekaj no, my go tu zaraz…